№ 23. Warszawa, dnia 24 Maja (5 Czerwca) 1878 r. Rok XIII.—Tom XIV.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

POGAWĘDKA.

— Wiesz pan — mówił nam pewien emeryt na ławce Saskiego ogrodu, uśmiechnięty nieustannie od czasu, kiedy sprawa „Kassy przezorności,“ weszła na taką dobrą drogę,—ja nie mogę się nadziwić tym wróbliskom biednym, że one, korzystając ze swoich przyrodzonych warunków, nie wynoszą się, od Maja zacząwszy, na wieś. Chyba to biedactwo węchu nie ma takiego, jak my, i wody nie pija. A gdzież-bym ja wysiedział na tym bruku, żebym miał czem latać.... Boże drogi, toć-to wyraźne samobójstwo....

— A czemuż pan radzca zabija się dobrowolnie?

— Ba, mój dobry panie — odpowiedział, skrzywiając usta w podkowę—mus to wielki pan. Wróblowi głupstwo polecieć: nawet myta nie potrzebuje opłacać; na pierwszej lepszej gałęzi urządzi sobie letnie mieszkanko i kontent.... Ale człowiek, a do tego emeryt, niech-by spróbował wyjechać z miasta dla wytchnienia, to, panie, powróciłby, może zdrowszy, ale też z torbami na jesień.

Jest w tem wiele prawdy. Koszta „letniego mieszkania“ dla człowieka mającego niewiele, stały się dzisiaj czemś tak odstraszającem, że, wspomniawszy o nich, musi on zwiesić smutnie głowę, wyrzec się świeżego powietrza, które jest dlań zadrogiem i poprzestać na tem, co ma niby-to darmo na miejscu. Za lada kurnik, sklecony z kilku dylów i desek, dlatego tylko, że postawiony pod parasolem zielonych gałęzi, albo opięty girlandami dzikiego winogradu, każą sobie panowie właściciele płacić podczas sezonu bajońskie summy, jakgdyby ryk krówek, które budzą ze snu odpoczywającego na willegiaturze mieszczucha, albo krzyk drobiu, był serenadą włoskich śpiewaków, a świeże powietrze podlegało razem z wódką akcyzie.

W tym roku, bardziej niż kiedykolwiek, ceny letnich mieszkań podskoczyły, bo według uświęconej u nas zasady ekonomicznej: „drzej łyko, póki się da,“ — trzeba korzystać z dogodnej pory i exploatować wszystkich tych, których losy i kursa giełdowe zatrzymać musiały w kraju. Toteż czytaliśmy ogłoszenie o wynajmie kilku pokoi w willi położonej za miastem, za które żądano 1,000 rs. na porę wiosny i lata.

Biedne gosposie nasze z każdym dniem marszczą się coraz bardziej, przybierają miny tak frasobliwe, jak ministrowie finansów w przewidywaniu krachu, i tracą głowy, niemogąc zesztukować obiadu po dawnej dobrej cenie, kiedy-to 5 złp. wystarczyć musiało na obiad, według przepisu. „Gospodyni wiejska“ na warszawskim bruku założyła przystań ratunkową dla rozbitków domowego gospodarstwa: otworzyła sklep kommissowy z rozmaitemi artykułami żywności, ale ta instytucya, wraz z niedawno założonem u nas „Towarzystwem ratowania tonących na Wiśle“ —nie miała jeszcze czasu rozwinąć swej działalności i zdobyć sobie uznania dla zasług położonych.

Miejmy nadzieję, że obojgu powiedzie się szczęśliwie; szczególniej Towarzystwo do wyławiania tonących, będzie miało wkrótce niemałe pole działania wobec zapowiedzi, grożącej całemu rodowi kucharek warszawskich. Przypuszczamy, iż zrozpaczone te kapłanki tajemnic kulinarnych, nie pośpieszą same rzucić się w nurty Wisły, z zamiarem samobójczym, ale w „pierwszej passyi“ wybiorą się gromadnie topić insygnia dotychczasowej godności na targach—wysłużone koszyki—bo oto zawiązała się w naszem mieście spółka udziałowa do rozwożenia artykułów żywności po domach.

Ma to być kantor pośredniczący w nabywaniu wiktuałów na targach i dostawiający, za opłatą 5%, zakupione przedmioty interesantom do domów.

Podobno to nowo-powstające przedsiębierstwo zza Żelaznej Bramy wzięło sobie za wzór podobnąż spółkę, funkcyonującą od dziesięciu miesięcy z powodzeniem w Odessie, i rozpocząć chce u nas próbę praktyczności z 100,000 rs. kapitału zakładowego.

W razie powodzenia, zaprowadziłoby to rzeczywiście pewną korzystną reformę w gospodarstwie domowem. Pomijając zyskanie czasu marnowanego na wałęsaniu się sług po targu, pomijając demoralizacyę ujętą w technicznem wyrażeniu „koszykowego,“ wreszcie zdanie się na łaskę i niełaskę przekupniów—możeby największej korzyści szukać należało w dostarczaniu zdrowych i niefałszowanych pokarmów, które spółka, kupująca wszystkie artykuły *en masse* i dbająca o własne i ogółu dobro, łatwiej niewątpliwie niż jednostki będzie mogła nabywać.

Spróbować nie zawadzi, chociaż zaryzykować trzeba. U nas, niestety, na nic z pewnością liczyć nie można; wszelkie rachunki prawdopodobieństwa zawodzą, i zawsze lepiej trzymać się sceptycznej zasady we wszelkich kombinacyach *a priori*, że dwa a dwa jest raczej *trzy*, niż *cztery*.

* * *

Bodajeśmy byli bardzo fałszywymi prorokami, przepowiadając, że większa część przedsiębierstw estetyczno-spekulacyjnych, będzie musiała w ciągu bieżącego lata sprawdzić na sobie tę zasadę.

Sceny ogródkowe zaroiły się już dziatwą Melpomeny; każdy z dyrektorów trzyma rękę na sercu, i z miną jaknajskromniejszą, przyrzeka święcie trzymać się najprzyzwoitszego repertoaru. Tym razem Warszawa posiada dwie trupy nie lada jakie: towarzystwo artystów dramatycznych ze Lwowa, pod dyrekcyą p. Terenkoczego, i towarzystwo poznańskie, z panem Doroszyńskim na czele, zawitały w nasze mury.

Dyrektorska spółka, która w przeszłym roku tak dobrą umiała sobie wyrobić u tutejszej publiczno-

ści i krytyki reputacyę, rozpadła się i występuje z rywalizacyą wzajemną—oby tylko na pożytek sztuki i jej miłośników ogródkowych! Teatr lwowski miałby niezaprzeczenie pierwszeństwo, gdyby nie nagły a niespodziewany ubytek kilku najzdolniejszych artystów, którym nieprzychylne okoliczności nie pozwoliły zjechać razem z kolegami do Warszawy.

Bywa to już tak, że *homo proponit, Deus disponit...* Bądźcobądź dla naszej reżyseryi, taka powódź teatrzyków nie musi być przyjemną, bo nieruchliwość jej jeszcze się bardziej uwydatni; dla artystów zaś przyjazd Rossi'ego z całą trupą włoskich aktorów, bywa wielce ambarasującem przypomnieniem pracy i poświęceń dla sztuki, pod zaniedbywaną u nas dewizą: *i talent zobowiązuje.*

A propos sztuki i talentów, znalazł się ktoś, co wziął pióro do ręki, aby zaprzeczyć wręcz francuzkiej maxymie: *„on ne parle pas de la corde dans la maison d'un pendu.“*

Tym niedyskretnym ktosiem, co rąbie prawdę, że aż trzaski lecą—jest p. Władysław Bogusławski, były reżysser Teatru Rozmaitości, który w felietonie *Gazety Polskiej* zamieszcza właśnie obszerniejsze studyum pod tytułem: *„Siły i środki naszej sceny.“* Głos to poważny, którym nie przemawia stronniczość, albo zawiść byłego reżyssera, ale rozwaga i doświadczenie w objektywnem traktowaniu tak ważnego przedmiotu; głos wreszcie przestrogi, wskazujący, o ile jeszcze i na jak długo scena warszawska może się nazywać sceną pierwszorzędną.

Autor, z rzadką w naszej prassie bezwzględnością, pomijamy tu *sui generis* bezwzględność *Przeglądu Tygodniowego*, odkrywa wszystkie słabe strony całego teatralnego organizmu, szkoda tylko, że nie zajął się także zbadaniem kierownictwa które jest może jednym z najważniejszych czynników, utrzymujących na pewnej wyżynie równowagę każdej większej sceny. Laube w Miejskim, Dingelstedt, w dworskim teatrze—w Wiedniu, Buchholz w Berlinie, a wreszcie, przyjeżdżający do nas w gościnę, Rossi, najlepszy dają dowód, że energiczny sternik, rozumiejący dobrze swój obowiązek, potrafi największy statek skierować na właściwy prąd, i przed naciskiem fali go ustrzeże.

Teatr bywa takim okrętem; są chwile, w których jest on wśród potopu jedyną arką, przechowującą lepsze, podnioślejsze wrażenia, ułudę innego świata i tradycyę lepszych wieków.

Bardzo trafnie przytoczył p. Bogusławski w swojej pracy, przykład poświęceń dla sztuki najznakomitszych aktorów niemieckich, którzy, dla wystawienia godnie na berlińskiej scenie *„Baśni zimowej“* Szekspira, zjechali się z rozmaitych stron i tysiące przeszkód zwalczyli, ażeby tylko zadosyć uczynić wymaganiom sztuki i honorowi sceny narodowej. Czytając ten opis, mimowoli powtarzaliśmy: *Et ne nos inducas in ten-tationem!*

* * *

Kronika pożarów z ostatnich kilku tygodni jest przerażającą: oprócz Nowego-Miasta, Radzymina, Opatówka, Staszowa, — w Płockiem, Ciechanowskiem, Lubelskiem mnóstwo ludzkiej pracy poszło z dymem.

Po większej części nieostrożność, chociaż i karygodna ręka podpalacza, rozniecała płomień; zmarniał dobytek, przybyło nędzy i niedoli ludzkiej. Niéma prawie tygodnia, aby w której stronie kraju nie zaświeciła łuna pożaru; bywają i takie dnie, jak np. 2-go Maja, kiedy w jednej gubernii Kaliskiej zdarzyły się w czterech miejscach większe pożary.

Do wszystkich klęsk jeszcze i ogień przybywa, a choć przychodzi na człowieka niespodzianie, to jednakże przewidywać go i zbroić się przeciwko niemu można i potrzeba. A tymczasem tyle głosów przebrzmiało już po każdym pożarze na prowincyi, nawołując do zakładania straży ogniowych ochotniczych—i mimo to nowe doświadczenia zastawały zawsze starą nieradność. Gdyby chodziło o sprawienie sikawki, wstrzykującej piwo w gardła szanownej intelligencyi małomiasteczkowej—możeby się prędzej ta kwestya znalazła na drodze rozwiązania.

Jeżeli na partykularzach naszych pożary chłoną z taką zażartością tyle ofiar swobodnie, to cóż powiedzieć o urządzeniu środków ratunkowych po gminach wiejskich! Lud patrzy obojętnie na niebezpieczeństwo grożące jego strzechom, a choć się „na gorącem sparzy, to pomimo tego, na zimne dmuchać nie myśli,“—jakby to według przysłowia wypadało uczynić.

— Bóg dał, Bóg wziął! — powiadają sobie, z nadzieją—że Bóg da jeszcze.

Jest-że to rzeczywiście determinacya uległa woli wyższej, czy też apatya, lub ciemnota a, co gorsza—sobkowstwo? Zdaje się, że wszystkiego potroszę, lecz tego ostatniego najwięcej. Pomimo wszelkich pocieszających objawów charakteru i rozbudzającej się umysłowości naszego ludu,—pociągu do oświaty i innych szlachetnych porywów—zachował on jeszcze wiele wad i stron ujemnych, nad któremi długo trzeba będzie pracować.

Upór, zanadto konserwatyzmem tłómaczony, brak poczucia solidarności w sprawach, ogólny interes obchodzących — również nadto na karb braku oświaty zaliczany,—wreszcie podejrzliwość względem wszystkich lepszych intencyj: składają się w nieszczęsnej mieszaninie na charakter tego ludu, w którym, coprawda, zdarzają się nietylko jednostki, ale całe grupy wyjątkowe. Do podniesienia całego poziomu jednak jeszcze zawsze daleko, chociaż do tego, przy nieustannej pracy, każdy dzień zbliżać nas powinien i—da Bóg—kiedyś przybliży.

* * *

Ciężkie czasy!.... Zwykłemu śmiertelnikowi, co z grosza żyje, ani zamarzyć o Wystawie paryzkiej. W ostatnich dniach widzieliśmy chyba jedynego człowieka wyjeżdżającego z Warszawy do Paryża: Szacha perskiego. Posiadając starożytny Iran, można się puścić w taką podróż. Jego Kr. Mości Nasr-ed-Dinowi Warszawa w nienajkorzystniejszy sposób się przedstawiła; niebo, widząc go z całem otoczeniem jadącego aż z Teheranu na Wystawę, rzekłbyś, rozpłakało się nad losem tych wszystkich nieboraków, którym okoliczności nie pozwoliły wybrać się w drogę o tyle krótszą. Deszcz padał przez pierwszy dzień pobytu Szach-in-Szacha, i Syreni Gród miał okropnie mazgajowatą minę. Drugi dzień był chłodny—i choć pogodę miał, nie miał majowego uroku. Pomimo jednak nieżyczliwości nieba, dany zakątek ziemi i ludzie go zamieszkujący bardzo dobre na „królu królów“ wywarli wrażenie. Uniósł on z grodu naszego miłe wspomnienia; zabrał też ze sobą widoki Warszawy, zdjęte przez p. Mieczkowskiego. Bardzo mu się podobało Stare-Miasto, piękna fasada archi-katedry i Łazienki, w których przez trzy dni pobytu swego w Warszawie mieszkał. Inny znów fotograf, p. Fajans, zdejmował portret Szacha w kilku czy nawet kilkunastu pozach. Władzca najdawniejszego, po Chinach, państwa na świecie, spędził czas swój w Warszawie na zabawach. Był tylko w gabinecie zoologicznym, okazując żywe zajęcie dla główniejszych w nim okazów. Czasu mu zabrakło na obejrzenie wystawy Matejki—a szkoda! W Sobotę zrana wyruszył na Berlin do Paryża.

Pan Wieniawski został niespodziewanie wystawcą na Wystawie paryzkiej, chociaż nie wykonał żadnego dzieła, dał tylko swój pomysł do niego. Bawiąc przed dwoma laty w Paryżu, przedstawił nasz pianista panu Oskarowi Commettant, głośnemu publicyście i melomanowi, a zarazem dyrektorowi jednej z najbardziej znanych fabryk fortepianów — oryginalny projekt. Oddawna już zastanawiał się on nad dziwną niekonsekwencyą w traktowaniu lewej ręki przy grze fortepianowej, ręki, która w porównaniu z prawą, wykonywa wszystko na opak niejako z powodu, iż obie na jednej i tej samej klawiaturze działają. Zauważył tedy, że korzystną byłaby dla ręki lewej taka klawiatura, na którejby taż ręka mogła niejako symetrycznie z ręką prawą się rozwijać, stosownie do budowy naturalnej obu rąk, to znaczy, aby skali w basie fortepianowym nie potrzeba było zaczynać od małego, lecz od dużego palca. Panowie: Commettant i właściciel fabryki, Mangeot, według pomysłu Wieniawskiego zbudowali instrument o dwóch nad sobą leżących klawiaturach, i tym sposobem zrobili zupełny przewrót w konstrukcyi fortepianu, a temsamem i w technice gry fortepianowej. Ponieważ pan Wieniawski nie mógł przyjąć propozycyi wystąpienia z koncertem na tym instrumencie swojego pomysłu, przeto bawiący w Paryżu p. Zarębski, zastąpił go i w przeciągu kilku miesięcy ciągłem ćwiczeniem się doszedł do takiej wprawy, że na dwóch klawiaturach gra równie znakomicie jak na jednej.

Na turnieju świata nie przesuniemy się znowu chyłkiem, niespostrzeżeni i niezauważani, dzięki twórczości naszych artystów. Wszyscy korrespondenci zgadzają się na jedno, że Matejko i Makart najwięcej zwabiają widzów swemi obrazami na wystawie, szkoda tylko, iż żadnem nowem arcydziełem nie uświetnił nasz mistrz pawilonu sztuk pięknych. Za „Bitwę pod Grunwaldem“ byliby mu Francuzi wielce wdzięczni i obowiązani.

Jak się zdaje, nie obaczą jej ani ciekawi Anglicy, ani Niemcy, ze względów patryotycznych udających Anglików na Wystawie.

Nasza skromniutka wystawa w Ratuszowej sali mogłaby być śmiało podziwem dla synów Albionu; zebrało się w niej jedenaście obrazów naszego mistrza, pomiędzy któremi największy rozmiarami, treścią, sztuką i prawdą dziejową—jest prorokujący Skarga. Cechowe chorągwie poustawiane w tej sali, zwiesiły się ponad obrazami malowniczo, jakgdyby je umyślnie jakaś niewidzialna ręka, z hołdem dla geniuszu i dzieł jego, pochyliła ku ziemi.

Idźcie i podziwiajcie: takim rzeczom nigdy napatrzyć się do syta nie można.

* * *

Kto z czytelników naszych czytuje *Kuryera Porannego*, ten niemało zdziwić się musiał, znalazłszy w jednym z numerów kwietniowych tego pisma przedruk wiersza p. Maryi Ilnickiej, z Nr 16 *Bluszczu* z r. b., p. t.: *Pod krzyżem*, podznaczony nie nazwiskiem autorki, ale jednego ze znanych poetów młodszego pokolenia. Nie chcemy dochodzić dróg, jakiemi ten wiersz dostał się do Redakcyi *Kuryera Porannego* ze sfałszowaną kartą legitymacyjną; wierzymy, że Redakcya ta wprowadzoną została w błąd, przez osobę trzecią, bez osobistego przyczynienia się człowieka, którego nazwisko podpisane jest pod przedrukiem: żałujemy tylko, że, otrzymawszy w swoim czasie od nas zawiadomienie o mistyfikacyi, Redakcya *Kuryera Porannego* zaniedbała je wydrukować.

PIOSENKA WIOSENNA.

(z Heine'go).

Świat taki piękny, modre niebiosa,
Na łąkach błyszczy srebrzysta rosa,
Kwiatki tak ślicznie w perłach jej świecą,
Ciepłe wietrzyki tak lekko lecą,
I wszyscy ludzie cieszą się wkoło:
Tak im rozkosznie, tak im wesoło—
Ja tylko jeden chciałbym być w grobie,
Martwa kochanko moja—przy tobie!

M. I.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Gromady, powołane do dworu, ściągnęły się zwolna, milczące, ponuro zpod oka patrząc, wysłuchały obwołania—pokłoniły się i rozeszły.

Tradycya była dokonana, majątek objęty i chłopak pojechał do Sierhina wskok z oznajmieniem od Kaczora, że wszystko się odbyło—*sine ulla protestatione.*

Nad wieczór, odebrawszy wiadomość pocieszającą, Hojski ucieszył się i zadziwił zarazem. Nie rozumiał Czemeryńskiego.

Słotna i chmurna była noc; Strukczaszyc, wysłuchawszy raportu chłopaka, wrócił do dworu i, chodząc po izbach, pacierze mówić zaczął. Ogień był jakoś wygasł na kominie; stary, modląc się, świecy nie zapalał.

Przyciemno więc było w pokoju, gdy od strony ogrodu z drugiej strony okno, jeszcze okiennicą nie zawarte, jakoś się zarumieniło dziwnie. Strukczaszyc poszedł zobaczyć co to było, i ujrzał na niebie ogromną łunę, właśnie w tej stronie, z której wioski zajechane leżały.

Za lasem był pożar. Tknęło to Hojskiego: wybiegł na ganek, wołając:

— Hryćko!

Parobczak wyskoczył ze stajni.

— Siadaj na bułanego i jedź, zobacz, gdzie to się pali.

Posłyszawszy głos brata, wyszła i p. Blandyna. Zdala, na pochmurnem niebie, karmazynowa rozkładała się łuna, a że wiatr poruszał obłoki, na których się odbijała, zdawała się poruszać w milczeniu. Wśród nocnej ciszy, ta drżąca zasłona, jakby w krwi zbroczona, chwiejąca się nad głowami, przejmowała trwogą. I Strukczaszyc i siostra przeżegnali łunę.

Długo patrzyli na nią w milczeniu, czekając powrotu posłańca; wreszcie blednąć i przygasać zaczęła, niebo ściemniało—znikła prawie zupełnie.

Nad rankiem wrócił chłopiec ze smutną wiadomością, że we wsi zajętej przez komornika wszystkie zabudowania dworskie spłonęły. Kaczor i Morawiec ledwie uszli z życiem; przyczyna ognia była niewiadoma.

Hojski, wysłuchawszy raportu, powrócił do dworku, niemówiąc słowa:

— Niewiadoma!—powtórzył w duchu.—O! wiadoma! czuć w tem rękę niepoczciwą Czemeryńskiego!

W kamienicy pani Kasztelanowej, przy ulicy Trockiej, mniej teraz jeszcze było ładu niż dawniej. Pan Erazm z żoną zajmował po nieboszczyku Kasztelanie pokoje, a stara jejmość bawiła się młodem małżeństwem, niemogąc się niem nacieszyć.

W samym początku dziwne trochę, śmiałe i samowolne obejście się Leonilli raziło Kasztelanową, ale się z niem oswoiwszy, rada była rozrywce, którą ją los obdarzył—rada zapewne i intryżce, co się z nią wiązała.

Do mnogich korrespondencyj przybyło zajęcie się państwem młodem, przypatrywanie się ich szczęściu, narady nad tem, jak się to ma skończyć, i w jaki sposób wszyscy się przejednają. O tem staruszka nie wątpiła, brała to na siebie, chciała aby to było jej dziełem.

Dlatego tak dzielnie dopomagała synowcowi jadącemu po żonę, dostarczając mu powozu, koni i ludzi. Sama potem dopilnowała przygotowania mieszkania, wyjeżdżała na spotkanie, i nie odstępowała ich—aż do zbytku.

Ci mili goście—była to jej troska nieustanna. Faworyci dawni trochę już byli zazdrośni, pocieszając się tem tylko, że przecie ta załoga długo tu pozostać nie może.

Prawdziwą rozkoszą było dla starej Kasztelanowej jeździć do przyjaciółek w odwiedziny i opowiadać im historyą synowca, jego ożenienia się, roli, jaką ona sama odegrała w tym akcie i miała jeszcze odegrać aż do ostatniego obrazu przejednania i zgody.

W wielu swych listach staruszka nie mogła się powstrzymać od napomknień o miłym ciężarze, jaki spadł na nią. Dotąd wszystko szło jeszcze dobrze; rozwiązanie jednak przedstawiało się niejasno—nie była pewną od kogo zacznie.

Tymczasem pięknej Leonilli i zakochanemu Erazmowi dni płynęły ozłocone promieniami młodego raju, w którego blaskach wszystko niknie, wszystko się rozpływa. Znajomość obojga, bardzo niedostateczna, krótka, czyniła ich prawie obcymi sobie. Widywali się, kochali, patrząc na siebie jakby z pewnej odległości, która dostrzedz nie dawała: czem byli w istocie. Ani jemu, ani jej nie przyszło na myśl, że zbliżenie się zawodem być mogło i rozczarowaniem. W tym wieku szczęśliwym, któż-bo wierzy w zawody? Świat taki piękny, ludzie tak poczciwi, serca takie szlachetne, Bóg taki dobry—a miłość takim szałem ogarnia!

Jeśli jest opatrzność co czuwa nad pijanymi, jak mówi francuzkie przysłowie, musi być i anioł opiekuńczy, który zakochanych strzeże, gdy się tak kochają mocno, że są i anioła warci i straży. Leonilla była trochę popsutem dziecięciem i pieszczoszką, trochę dumną i samowolną, ale serce miała poczciwe, które miłość matki i ojca, ogrzewając, wypielęgnowała. Przywiązanie jej dla Erazma płynęło z różnych źródeł małemi strumyczkami, niedojrzanemi, z których się w końcu tworzył prąd silny i potok gotów obalać wszystko, co-by znalazł na drodze.

Z nich dwojga, każde kochało inaczej, oboje równie silnie. Leonilla była królową, ale na świecie nie widziała nikogo, oprócz tego ukochanego, co klęcząc u jej kolan, czekał rozkazów, skinienia szpiegował.

Za rodziców swoich ręczyła Erazmowi, że się muszą dać przebłagać - czuła, że się bez niej nie obejdą. Hojski nie śmiał nic mówić o ojcu, milczał; rachował na wpływ ciotki, na—jakąś opiekę Bożą, do której każda miłość rości sobie prawo. Na prawdę, czemżeby opiekowano się z góry, jeśli nie tem uczuciem świętem, którego zadaniem na ziemi rozwijać się walką z tysiącem trudności, co mu wyrosnąć nie pozwalają?

Leonilla była prawie wesołą. Erazm trochę trwożliwiej patrzał w przyszłość; ale mu się namarszczyć, ani zachmurzyć nie było wolno. Królowa nie pozwalała.

I dnie płynęły — ot, tak jak kradzione płyną—szybko, piorunowo, bez pamięci na jutro.

Któż ma jutro?

Kasztelanowa wymyślała zabawy, które najczęściej się jakoś nie kleiły, a to je czyniło pocieszniejszemi jeszcze. W tym domu nic-bo po ludzku i porządnie iść nie mogło; trybem starym rwało się i plątało wszystko, a Leonilka śmiała się i była szczęśliwa. Jeżdżono kuligami, z których potrzeba było powracać piechotą; dawano obiady, właśnie we dnie, gdy kuchmistrz był chory po wczorajszym punczu; spraszano na wieczory, gdy miało świec do sali zabraknąć.

Dwór cały naówczas rozbiegał się z krzykiem, wołając ratunku; pan Erazm wynajdywał jakiś środek, śmieli się wszyscy—i kończyło się jaknajlepiej.

Kasztelanowa, niedosyć, że ciągle tę parę chciała mieć u siebie; ale gdy ona odeszła spocząć, ciągnęła za nią, aby jej z oczu nie stracić.

Na tem zajęciu się szczęściem niewiele zyskiwał programat przyszłości. Codzień go inaczej obmyśliwano, a nazajutrz musiano odmieniać; tymczasem nic się nie robiło. Zdaniem Kasztelanowej, nie potrzeba się było śpieszyć i należało dobrze wszystko rozważyć, aby fałszywego nie postawić kroku.

Nie stawiano więc żadnego.

Zdawało się, że ten stan trwać może wieki, gdy jednego dnia Leonilla, stojąca przed źwierciadłem, postrzegła w niem męża, który u okna list czytał, a twarz miał bladą, bladą jak ściana. Przestraszona, podbiegła ku niemu: chciał list schować,—wyrwała.

List był od ojca, nakazywał powrót do domu.

Erazm, milczący, stał, patrząc na żonę, która nie wiedziała co robić, aby go przywrócić do życia: rzuciła mu się na szyję i całować go zaczęła.

W tem drzwi się otwarły i, nieubrana, w czepku nocnym, przelękła, śpiesząc się, wpadła Kasztelanowa, niemogąc mówić tak jej dech zabiło; trzymała i ona list w ręku.

— Na miłość Boga! proszę was — zawołała—Eraziu, krzesło podaj, bo padnę. List! Siadajcie koło mnie wszyscy! trzeba radzić! List od Strukczaszyca. Spadł jak piorun! Myślałam, że zemdleję, a tu dziś muszę być u Szambelanowej, u Hetmanowej, u Biskupa; obiecałam się Siostrom zakonnicom! Dziesięć listów czeka. Koadjutor—wiecznie zapominam, ma być na obiedzie — Eraziu! zadzwoń! Trzeba dla niego zrobić z postem. Powiadam wam, dzieci moje, głowa mi pęka.

Wszystko to wyrecytowawszy z pośpiechem, Kasztelanowa do listu wróciła.

Erazm oświadczył, że także list odebrał od ojca.

— Ale wy jechać tak nie możecie!—zawołała.—Nic nie przygotowane! Tak wpaść, to wszystko popsuć. To nie może być, ja na to nie pozwolę.—Czekajcie.

Cóż ty mówisz, Eraziu?

Erazm milczał, niewiedząc co odpowiedzieć.

— Przecież jesteś głowa domu! mężczyzna! proszę cię.

Wtem odwróciła się do wchodzącej Ostrogrodzkiej.

— Proszę cię—Koadjutor na obiedzie, zlituj się! Szczupak tuczony, czy co? Niech dla niego ostryg przyniosą—i burgundzkie. Ostrogosiu! droga moja, gdzie flakonik?

Erazm i młoda pani mieli czas się namyślać; lecz zamiast tego podali sobie dłonie i spojrzeli w oczy: wstąpiło w nich męztwo.

— Więc co? mów? Nie tajcie nic przedemną!—poczęła znowu Kasztelanowa — wymagam od was otwartości, jak przed matką. No—jakże?

— Kochana stryjenko—odezwała się Leonilla—ja, ja doprawdy nic nie wiem: Razio coś, coś wymyśli, albo ty.

Erazm, zewsząd zagadywany, zmuszony do wypowiedzenia zdania, wyrwał się, wzdychając, z tem, że dla uspokojenia ojca, mógłby pojechać sam— i powrócić. Kasztelanowa-by zawezwała.

— A! ja ciebie nie puszczę! — zawołała Leonilla. — Stryjenko! my jego samego nie puścimy? — prawda?

— Nigdy w świecie! — odezwała się Kasztelanowa.

— Stryjenko — jabym tu z trwogi i tęsknoty umarła! Co będzie, to będzie—ja z nim razem: nie mogę go odstąpić!

Staruszka uścisnęła Leonillę.

— Zmiłujcie się—przerwała nagle—która godzina? Ja nie ubrana, a tu wizyty i Koadjutor. Puszczajcie mnie—będziemy radzili wieczorem.

Zegar okazywał spóźnioną godzinę, co u Kasztelanowej zawsze się trafiało. Nie było przykładu, ażeby się pośpieszyła; oskarżano zegary, ale zegary nie były temu winne.

Jak prędko wbiegła, tak pośpiesznie odeszła staruszka, zatrzymywana po drodze tysiącem spraw niezałatwionych. Z bramy posłaniec oklep pędził po szczupaka, który miał być tuczony dla ks. Koadjutora.

Erazm z żoną, zostawszy sami, zamiast radzić, siedli pod pozorem wielkiego smutku, jedno przy drugiem; Leonilka położyła głowę na jego ramieniu,—zadumali się. Erazm ręce jej całował. Siedzieli tak długo, długo, do samego obiadu i przyjścia Koadjutora. Nie uradzili nic, ale zapomnieli o wszystkiem. Kasztelanowa też, swoim zwyczajem, gwałtownie biorąc każde wrażenie w pierwszej chwili, po wizytach i ks. Koadjutorze i listach, prawie zapomniała o sprawie, która ją zrana obchodziła tak gorąco. Erazm i Leonilla nie przypominali jej, radzi, że się coś stanowczego zwlekało.

Staruszka miała taki temperament osobliwy: zrana rozpadała się nad swojemi kochanemi dziećmi, śpieszyła się radzić, przerażona chodziła; wieczorem myślała o czem innem, a idąc spać, wyznała przed wierną Ostrogrodzką, że miała wiele kłopotu z temi młodemi. Tak samo jednak przed Erazmem i żoną jego czasem się na swą kochaną Ostrogrodzką uskarżała.

Nazajutrz zrana znowu opanował ją niepokój wielki o—dzieci.

— Co ja tu z niemi pocznę! Ojciec wzywa, a Erazma samego żona nie puszcza — co odpowiedzieć! co robić!

Pobiegła znowu do młodych, którzy, korzystając ze swego nieszczęścia, z egoizmem właściwym miłości, siedzieli przytuleni do siebie, wzajemnie się pocieszając.

Tego dnia, ponieważ ani o szczupaku ani o ks. Koadjutorze nie potrzebowała myśleć, Kasztelanowa postanowiła coś stanowczego zdecydować.—Okazało się, że to tak naprędce było niepodobieństwem, i że naprzód należało zyskać na czasie: Kasztelanowa więc wymyśliła, ażeby odpisać Struk-

czaszycowi, iż Erazma posłała do dóbr witebskich. Tym sposobem, mogła przeciągnąć sprawę—i, obrachować wszystkie następstwa.

Wszyscy to uznali za najwłaściwsze, najlepsze; ucałowano rączki starej jejmości, która natychmiast pobiegła — list pisać do Strukczaszyca. — Erazm i żona jego odetchnęli.

Znowu na jakie parę tygodni mieli niezamąconego szczęścia przed sobą. A potem? potem co Bóg da!

Erazm jednak, choć milczący i na pozór zgadzający się na wszystko, czuł najlepiej, że stan taki wyczekiwania i niepewności nie mógł trwać wiecznie. Trzeba było zebrać się na odwagę, wyznać prawdę i rozwiązać przyszłość. Dla żony ociągał się, aby jej nie zatruwać pierwszych dni swobodnych—lecz postanowił przygotowywać ją powoli do stanowczego kroku.

Oboje nie mieli żadnej z Łopatycz wiadomości. Leonilla tylko, dla uspokojenia matki, słała jej bileciki z różnych miejsc datowane, zapewniając, iż była zdrową i że jej nie zbywało na niczem. Pisała również do Francuzki, niewiedząc o jej ucieczce, a prosząc, aby rodzicom była pociechą.

Listy te przychodziły już po odkryciu tajemnicy, gdy Czemeryński rozmyślał tylko nad tem: co robić dalej? Dopiekał Strukczaszyc,—trzeba było zadać mu cios śmiertelny.

Przekonawszy się, że Hojski ożenieniu będzie przeciwnym, i że ono go do wściekłości doprowadzi, sędzia pragnął już conajprędzej córkę i zięcia ściągnąć do Łopatycz.

Tymczasem oliwy do ognia dolewał Strukczaszyc, tradując wioski, a sędzia heroicznie pod budynki dworskie ogień kazał podkładać.

Proces zajadły szedł dalej swoją drogą.

Z kartek Leonilli, które z różnych miejsc były nadsełane, Czemeryński nie mógł dojść gdzie się młode małżeństwo ukrywało, a pilno mu było je znaleźć i niem się przeciw nieprzyjacielowi posłużyć.

Ponieważ ks. Dagiel napomknął, że p. Blandyna mogła wiedzieć o miejscu pobytu młodych Hojskich, przezwyciężając zatem wstręt jaki miał do całej rodziny, Czemeryński zbliżyć się do ciotki Erazma postanowił. Łatwem to nie było.

Gdzieindziej jak na plebanii widzieć się z nią nie mógł. Kwestya tylko była czy się ona zgodzi na konferencyę i czy przystanie na rozmowę na osobności. Ks. ex-definitor jako parlamentarz musiał siąść na wózek i na plebanię pojechać. Szło niby o zgodę—ksiądz Dagiel nie odmawiał pośrednictwa. Zapraszał na Niedzielę.

Czemeryński, mimo biedy w domu, paradnie wystąpiwszy, na mszę pojechał sam, gdyż sędzinka jeszcze była zbyt osłabioną, aby mogła wyruszyć z domu.

Po nabożeństwie Czemeryński udał się z kapelanem na probostwo. Panna Blandyna już się tam znajdowała; ale trzeba było czekać, aż się od proboszcza goście rozjadą.

Gdy pozostali sami, Czemeryński z wielką prozopopeją przystąpił do Strukczaszanki. Nadał sobie powagę i smutek człowieka, który zniża się do traktowania z pośledniejszego stanu osobami, przez miłość dla dziecięcia.

— Ksiądz proboszcz—odezwał się patetycznie—mówił zapewnie aca ii dobrodziejce o tem, co mnie tu sprowadza. Jestem ojcem: dla jedynego dziecka wiele gotów jestem poświęcić.—Chciałbym conajrychlej i córkę odzyskać i wyjść z tej niepewności, jaka mnie dręczy. Pani dobrodziejka musisz być uwiadomioną o tem, gdzie się oni znajdują.

Duma, z jaką wyrażał się Czemeryński, ledwie racząc spojrzeć na p. Blandynę, obudziła w niej trochę męztwa i poczucia godności.

— Bardzo-bym się cieszyła — dodała — gdyby nieprzyjemne spory, dwie rodziny z sobą dzielące, raz się mogły skończyć; lecz, po tylu dowodach zawziętości, trudno mi wierzyć w łagodniejsze pana dobrodzieja usposobienie.

— Ja za to jedno uroczyście pani ręczyć mogę—odparł sędzia—że zięcia, choć nie miłego mi, przyjmuję. Chcę mieć córkę i jego w domu. Jak się reszta załatwi, to nie odemnie zależy.

Gdzie oni są? gdzie się oni kryją? — dodał Czemeryński.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KŁOPOT DZIADUNIA

OBRAZEK W JEDNEJ ODSŁONIE

przez

Ludwikę S. (z Kujaw).

OSOBY:

Rembalska, wdowa,
Potulnicki, jej ojciec,
Zosia, jej córka,
Władysław.

Rzecz dzieje się na wsi w domu Rembalskiej.

Scena I.

(Pokój skromnie umeblowany, jedne drzwi w głębi, drugie na prawo, na oknach doniczki z kwiatami).

Rembalska i Potulnicki (*siedzący na fotelu, nogi owinięte szalem, przed nim stoliczek*).

Rembalska (*trzymając list rozpieczętowany w ręku, mówi energicznie do ojca*).

Więc, ojcze, pamiętaj co mówię: młodych ani na chwilę z oka nie spuszczać, bo broń Boże oświadczyłby się Zosi ten młokos, miałabym biedy po uszy. Goły, Panie Święty, jak bizun; gdyby nie ta kolligacya z Marszałkiem, tobym go oddawna ztąd wyprawiła; więc czuwać teraz potrzeba, żeby sobie coś stanowczego nie powiedzieli. Ah! jakiego ogromnego kłopotu siostra mi narobiła nagłą tą chorobą! Jechać muszę, bo nużby tam, broń Boże, zmarło jej się bez testamentu, to cała familia nieboszczyka zleciałaby się zaraz i rozdrapaliby wszystko. Zosi w żaden sposób z sobą wziąć nie mogę, chociaż byłabym już o nią spokojna. Pilnuj-że ją ojcze, bo to los dziewczyny. Wrazie śmierci, czego Boże broń, kochanej siostruni, zostanie bogatą, bo ręczę, że jej ciotka wszystko zapisze, a wtedy Marszałek własnego syna swatać zacznie. Można na to liczyć, bo wiem, że mu wpadła w oko. Słuchaj-że więc ojcze.... Ale ojciec śpi!

Potulnicki

Co znowu (*uciera głośno nos i przeciera oczy*). Jedź, jedź z Bogiem i bądź spokojną.

Rembalska

Tak ojcu łatwo to powiedzieć, ale ja wcale spokojną być nie mogę, bo wiem, że Zosia tego Władysława lubi. Ale niedoczekanie twoje, golcze, żebyś ją dostał; jestem pewna, że marszałkiewicz uderzy, gdyby tylko Bóg zesłał posag.

Potulnicki

Czy to jej jedyne szczęście za tem marszałkiewiczem? A ty czyż nie byłaś szczęśliwą, choć twój nieboszczyk nie miał kroci?

Rembalska

A to mi szczęście: całe życie zapracowana jak dziewka folwarczna! Żadnej karyery nie zrobiłam, idąc za mego męża. Poczciwy był człowiek, to prawda, i kochałam go nawet, nie mogę powiedzieć abyśmy źle żyli, ale całe życie klepałam biedę, żyjąc na dzierżawie. Zawsze tylko byłam panią possessorką; nigdy nie doczekałam się tego, aby przecież wejść między dziedziczki. Może Bóg da, że moje dziecko inaczej za mąż wyjdzie.

Potulnicki

Nie tak mówiłaś przed dwudziestu laty, kiedy opierałem się twemu wyjściu za nieboszczyka: pamiętasz, jak mi do nóg padłaś, jak się łzami zalewałaś, mówiąc, że tylko z Tadeuszem szczęśliwą być możesz.

Rembalska

Co tam przed dwudziestu laty! to były dzieciństwa. Rodzice są od tego, aby dzieciom na głupstwa nie pozwalali. To też, póki ja żyję, za Władysława Zosi nie wydam: człowiek nietylko ubogi, ale z liczby tych, co się nigdy majątku nie dorobią,—zupełnie mój nieboszczyk Tadeusz. Pamiętajże więc, ojcze, żebyś ich tu dobrze pilnował.

Potulnicki

Dobrze, dobrze, będę ich pilnował.

Rembalska

Tylko niechże ojciec nie śpi. Jeżeli u siostry niéma niebezpieczeństwa, to dziś jeszcze wrócę. Przynajmniej spać będę mogła spokojnie.

Potulnicki

Powracaj, powracaj, moje dziecko, jaknajprędzej.

Rembalska (*idąc do bocznych drzwi*)

Teraz z panną rozmówić się muszę (*woła*). Zosiu! Zosiu!

Scena II.

Ciż i Zosia (*w perkalikowej sukience i fartuszku, uczesana w dwa warkocze*).

Zosia (*wbiegając*)

Słucham mamusi.

Rembalska

Wyjeżdżam—ciocia nagle zachorowała.

Zosia (*ze smutnem przejęciem*)

A mój Boże!

Rembalska

Zostawiam cię pod opieką dziadka. Proszę tu siedzieć i nie biegać nigdzie. Ale, przynieś-no swoją robotę: zobaczę coś też zrobiła.

Zosia (*wybiegając*)

W tej chwili, mamuniu....

Rembalska (*po wyjściu Zosi—do siebie*)

Nie będziesz mogła spacerować, zadam ci dobrą porcyę.

Zosia (*wchodzi z serwetką szydełkową*)

Otóż jest, proszę mamy.

Rembalska (*oglądając*)

Jak ty pomału robisz! Próżniak z panny! Już to widzę, że od jakiegoś czasu opuściłaś się bardzo (*Zosia oczy spuszcza, bawi się fartuszkiem*). Proszę cię, zrób dwadzieścia rozet, zanim wrócę.

Zosia (*całując matkę w rękę*)

Ah, mamusiu kochana! tak dużo.... nie zdążę.

Rembalska

A cóż ty innego masz do roboty? Siedzieć z założonemi rękami—to grzech śmiertelny. Biegać niepotrzebnie po ogrodzie—czasu szkoda. Proszę cię, siedź tu z dziadzią, niech się nie nudzi samotnie. Proszę i nakazuję....

Potulnicki

Może ty, kochanko, dałaś dziewczęciu za dużo roboty, bo to widzisz w młodości....

Rembalska

Mój ojcze, już ja córce własnej krzywdy nie zrobię. Ojciec nie może się znać na wychowaniu dziewcząt tak jak ja (*zwracając się do Zosi*). Pamiętaj, żeby dziadek miał wszelką wygodę (*bierze szal i kapelusz i ubiera się*).

Zosia (*pomagając jej*)

Dobrze, dobrze, mamusiu—o wszystkiem pamiętać będę).

Rembalska (*ubrana do drogi*)

Do widzenia (*całuje ojca w rękę i mówi ciszej*). A proszę, błagam ojca nie zapomnij com mówiła.

Potulnicki

Jedź z Bogiem, kochanko, a wracaj nam prędko.

Rembalska (*do Zosi, która ją w rękę całuje*)

Bądź zdrowa (*wychodzi, za chwilę wraca się*). A pamiętaj Zosiu, aby dziadek się nie nudził. Grzechem jest zaniedbywać wiek sędziwy. Ty masz dobre serce przecież i nie dopuścisz się tego. Kochasz dziadka?

Zosia

Kocham, mamusiu, i pod tym względem wiem, że nigdy nie dopuszczę się zaniedbania.

Scena III.

Zosia, Potulnicki (*zawsze siedzący w fotelu*)

Poutulnicki

Zosiu, moje dziecko, przynieś mi tę książkę w czerwonej oprawie, wiesz, Historya Bandkiego. Poczytam sobie trochę.

Zosia

Dobrze, dziaduniu, zaraz przyniosę, jest w pokoju mamy.

Potulnicki

Tylko zaraz wracaj.

Zosia

Za chwilkę będę z powrotem (*wybiega*).

Potulnicki (*sam*)

Żal mi tak dziewczynę na sznurku trzymać. Biedne dzieciska!—nie dadzą im się kochać. Jak to się ludzie zmieniają! Matka z takiej gorącej miłości za mąż wyszła, a dziś nie chce zrozumieć praw serca! Ja-bym tam to dwoje pobłogosławił, bo choć stary jestem, jeszczem nie zapomniał przeszłości. Ah! moja droga Antosia (*obciera łzy*). Mój Boże, kiedyż się znowu z sobą połączymy (*pauza*). Jakoś długo Zosi nie widać. Może on właśnie przyjechał i spotkali się.

Zosia (*wchodzi z książką*)

Jest książka, kochany dziaduniu (*kładzie ją przed Potulnickim*). Naszukałam się ogromnie, bo była już schowana w szafie.

Potulnicki

A teraz, kochanko, usiądź do roboty, bo mamie to zrobi przykrość, jeżeli nie wykonasz tego, czego żądała. Matka jest dobra i kocha cię, ale chce chować cię dobrze.

Zosia (*całując dziadka w ramię*)

Wiem to, kochany dziaduniu; ale gdybym roboty nie wykończyła, to dziadzio wstawi się za wnusią i bury nie będzie?....

Potulnicki

Wiesz dobrze, że matka tego nie lubi. Sama bardzo pilna i pracowita, i od drugich żąda, żeby sumiennie spełniali swoje obowiązki.

Zosia (*zabierając się do wyjścia*)

Mój dziaduniu, tylko kwiatki podleję, bom zapomniała.

Potulnicki

Czekaj-no, a gdzie to idziesz?

Zosia

Do swego pokoju. Zaraz wrócę.

Potulnicki

Tylko wracaj pręciutko, bo robota (*oglądając się*). Już jej niéma. Co to za kręcicka—Boże Święty! Co się to dziwić—siedmnasty rok. Kiedym był w tym wieku, tom chwili nie usiedział przy takiem nudziarstwie; a tu dziewczynę zasadzają do tego na dnie całe. Biedactwo, radeby pofruwać (*ogląda się*). Tylko, żeby on nie przyjechał, żeby nie spotkali się ze sobą. Niech-by już raz ta matka wróciła i mnie ten kłopot zdjęła z głowy. Alboż ja młodych upilnuję! Kto ich upilnował kiedy? Skaranie Boże (*ogląda się*). Coś długo te kwiatki podlewa. Jadwisia będzie się gniewać (*woła*). Zosiu, Zosiu (*po chwili*). Gdzie ją tam kto ściągnie do pokoju! Pewno tam motylki goni. Na czem to ja stanąłem wczoraj (*zatrzymuje się na jednej kartce*). Hm, to już czytałem (*przerzuca*). Zamylili mi.... naznaczyłem sobie (*ogląda się*). Niewidać jej (*woła*) Zosiu! Zosiu! (*przerzuca karty*). Cóż u Boga Ojca, znaleźć nie mogę!

(Dokończenie nastąpi)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Psałterz Dawidowy, przełożony wierszem polskim przez *Kazimierza Bujnickiego*. — Toruń, nakładem własnym, w kommissie księgarni Nowej w Toruniu. 1878. 8-o min. str. XXIV i 303.

(Dokończenie).

Przekład nowy psałterza zatem, będąc miejscami tylko poetycznym, jest zarazem w całości swej najwierniejszym z czterech piszącemu te słowa znanych. Miałżeby istnieć jaki związek przyczynowy między obu uwydatnionemi tu faktami?: miałażby wierność wyłączać poetyczność i nawzajem poetyczność możliwą być tylko przy przeniewiedzeniu się textowi Psalmów? I czyliżby Kochanowski i Rybiński nie mogli być tak poetycznymi, jakimi są — gdyby się byli trzymali oburącz textu? Nikt tego nie powie; byłoby to bowiem to samo co potępić sam oryginał jako niepoetyczny, a więc niezasługujący na przekład. Nie, zaprawdę, żyły złota przechodzą przez Psałterz, ale je niełatwo na obcą mowę poetyczną przetopić. Przekład tej księgi pomnikowej jest bardzo trudnym, i wogóle przekłady wszelkie, jeżeli mają być doskonałemi, do najcięższych zadań literackich należą. Kto wymówić ma przy przekładzie słowo „arcydzieło“, ten dobrze zważyć je wprzód powinien, aby go ono później ciężarem swoim nie przywaliło. Jeżeli z poezyi jako siły złożonej wyróżnimy część jej składową *kunszt poetycki*, to przystosowując oba te pojęcia, poezyi i kunsztu, do rymotwórstwa, otrzymujemy tę wypadkową, że niższość duchowej potęgi tłómacz wynagradzać musi, nietylko już równością, ale wyższością kunsztu poetyckiego. Sztuka jako sztuka — w całej nagości swej przy przekładach dopiero występuje. Trzeba ją w tak wysokim stopniu posiadać, że liczba rzeczywistych arcydzieł przekładów w literaturze powszechnej, a nietylko w naszej, bodaj, czy nie jest mniejszą od liczby rzeczywistych arcydzieł oryginalnych. Wielu poetów pierwszej mocy rozbijało się o trud przekładowy; wielu drugorzędnych krótkotrwałej tylko dostępowało sławy. Niezmiernie trudno pogodzić prawdę, szkielet logiczny poezyi, który niezmiennie pozostać musi takim, jakim jest, z pięknem, które ma się w nowych zmienionych ukazać kształtach—nieprzestając jednak być temsamem w swej istocie, t. j. w jakości, ilości i porządku obrazów idealnych, z których promienieje piękność. Odległości czasu i przestrzeni, różnice charakterów, gromadnych i indywidualnych, czasowych i trwałych, wiekowe wpływy natury, wiekowe prace tych duchów-ogromów, które sobie na różnych miejscach, w różnych czasach, na różny sposób zdobywały i gromadziły te cudne skarby, jakiemi są dziś języki ludów cywilizowanych; wreszcie właściwości i niedokładności samego twórcy, chwilowe zaćmienia umysłu i talentu, rzadko kiedy w całej swej sile przez całe dzieło utrzymać się zdolnego: wszystko to staje pomiędzy autorem a tłómaczem i czyni trud przekładania pięknotworów z jednej mowy na drugą bardzo ciężkim, zwiększając zaś surowość sądów zwiększa zarazem i poszanowanie dla prac podejmowanych skromnie w cichości serca, a wykonywanych sumiennie i bez uroszczeń żadnych.

Kunszt rymotwórczy tłómaczowi potrzebny nie jest jeszcze wszystkiem. Owa poetyczność, której wolno być niższą, ale nie wolno nie być wcale, niezbędną jest dla odtwarzającego pięknotwory poezyi w mowie nowej. Stosunek określićbyśmy mogli tak, że oto poeta jest budownikiem i właścicielem czarownego zamku poezyi, który tłómacz sobie upodobał i u siebie w swoim kraju go odtwarza. Stawiając nową budowę podług wzoru dawnej, powinien on mieć wyobrażenie jasne o jej stylu i przeznaczeniu, znać i uszanować cały jej rozkład i cały plan architektoniczny; powinien wiedzieć jakiego rodzaju życie duchowe rozwinąć się w niej może i takie tylko w niej rozwijać; gmach swój zaludnić mu wolno takiemi tylko, wszechzrozumiałemi, dla człowieczeństwa całego dostępnemi myślami, uczuciami, obrazami imaginacyi, metaforami—wszelaką arystokracyą i wszelakiem pospólstwem postaci mownych, które sam twórca do zamku swego sprosił. Mogą i muszą ci goście być w nowych szatach: ale też mogą i muszą być w tych samych charakterach, w tożsamości swych istot. Ściśle pojmując tłómaczenie jako przełożenie z jednej mowy na drugą, jako przeprowadzenie z jednej krainy językowej do drugiej (*transducere*) mamy obowiązek powiedzieć, że tłómaczowi utworów poetycznych niczego uronić, niczego dodać, niczego odmienić nie wolno; najmniejsze porównanie nietkniętem utrzymane być powinno i tam tylko gdzie przez zastąpienie jego innem zyskuje się rzecz nietylko większej siły ale i większej zrozumiałości dla nowych, innonarodowych czytelników, wolno jest wziąć porównanie z właściwego tym czytelnikom, a raczej całemu narodowi, świata wyobrażeń. Żadne inne zmiany nie są dozwolone. Rzeczywistem arcydziełem tłómaczenia jest tylko taki przekład, w którym znajdujemy najzupełniejszą tożsamość z oryginałem: utwór ten sam, tylko w innym języku. Oto ideał! Gdyby nietylko w naszej, ale i w innych literaturach zechciano porównać dobre arcydzieła przekładów z oryginałami—ileżby wielkości na dół strąconych zostało!

W takiem dopiero dziele, które umiało zjednać dla siebie zupełny kunszt rymotwórczy i zupełną siłę poetyczną, z podstawienia się tłómacza w miejsce autora wynikającą, wierność duchowa, a nietylko literalna, będzie możliwą, i na takiem dziele dopiero stwierdzać można wiekuistą zasadę sztuki, którą Schiller pierwszy może tak jasno i prosto sformułował,—tę mianowicie: aby sztukmistrz niknął poza dziełem swojem, niknął tam nawet, gdzie jako człowiek ściśle zjednostkowiony sam bezpośrednio przed czytelnika czy widza występuje.

Takie są nasze pojęcia ogólne; co teraz powiemy, stosując je do nowego przekładu Psałterza? Sędziwy tłómacz wybaczy nam, że wypowiemy tu zdanie swoje całkiem niezależnie od czci dla jego wieku, jego osobistości i zasług w piśmiennictwie położonych; wybaczy nam również i to, że zdania swego rozbiorem szczegółowym, drobiazgowym, takim, jaki rzeczywistej krytyce w obowiązku przypada, jawnie nie poprzemy—na to braknie nam miejsca. Do spełnienia tego obowiązku, który dla nas zawiera się w wydaniu sumiennego sądu o przekładzie, wystarcza nam przeświadczenie, żeśmy ocenianą tu pracę dobrze poznali, żeśmy pięćdziesiąt psalmów p. Bujnickiego z Kochanowskim i Rybińskim, a kilkanaście i z Karpińskim także porównali: zdaje nam się, że na takiej podstawie sąd nasz tylko pod estetycznym względem omylnym być może; nie pomylimy się we wiedzie tego, co jest w przekładzie i czego w nim niéma.

Przekład p. Bujnickiego odznacza się wiernością dla Biblii Wujka; ale, o ileśmy, nieznając oryginału hebrajskiego, z porównania między sobą innych tylko textów wnieść mogli, mniemamy, że ta wierność nie wszędzie wyszła przekładowi na dobre. Są miejsca, które lepiej było tłómaczyć według textu protestanckiego. Wyżej wypowiedzieliśmy już uwagę, że tłómacz, który zechce trzymać się jednego tylko textu, źle uczyni. W tym właśnie wypadku znalazł się nowy tłómacz Psałterza. Szanujemy domyślne jego pobudki; ale ze stanowiska piśmienniczego nie pochwalamy wyłączności, jakiej się dobrowolnie poddał. Wierność ta jednakże, dla Wujka nawet, bezwzględną nie jest i być nie mogła i zaznaczyliśmy sobie dopełnienia i zaokrąglenia, których niéma w texcie. Z drugiej strony znowu przyznać potrzeba, że te odstąpienia, zresztą nieliczne, okupuje tłómacz w niektórych wierszach najzupełniejszą dosłownością, tak, iż wyrazy prozy żywcem znajdują się tu wyjęte z niej

i wjarzmione w rytm i rym poezyi. Parę przykładów znajdzie czytelnik w Psalmach Pokutnych, najbardziej rozpowszechnionych i każdemu chyba znanych.

Pod względem kunsztu rymotwórczego zarzucilibyśmy niedostateczną poprawność w budowie wierszy. Grzechów ciężkich, upornie powtarzających się, niéma, są jednak uchybienia i wady. Niejednokrotnie dla dobrej miary wystarczało tylko przestawienie wyrazów: nie uczyniono tego—i wiersz wyszedł chropawy. Dodawanie *on* i *oni* dla miary choć nieczęsto wydarzające się, jednakże razi. W innych miejscach wiersze jednomiarowe nie są jednakostopowemi: amfibrachy i trocheje w 10- i 8-zgłoskowych wierszach nie odpowiadają sobie należycie. Rymowanie różnomiarowych wierszy rzadko kiedy tak szczęśliwem być może jak w pieśni Kochanowskiego: „*Wszechmocny Panie!* (Ps. VIII) to też przy mniej szczęśliwem użyciu powstaje nieuchronnie pewien rozdźwięk w harmonii rytmicznej. Wiersz 9-zgłoskowy, aby był dobrym, z samych tylko amfibrachów złożonym być powinien; budowa jego najgorzej wiodła się Kochanowskiemu i Rybińskiemu, a nie jest też najlepszą w Psałterzu p. Bujnickiego. Rymów męzkich tłómacz nowy nie używa, podobnie jak i jego poprzednicy (Rybiński nie właściwie rymował *on*, *Pan* z imiesłowami ściągniętemi czasu przeszłego). Stopy też jambicznej, w języku naszym, że kilka pominiemy wyjątków, jedynie tylko przy użyciu wyrazów jednozgłoskowych na końcu możliwej, wcale w nowym przekładzie nie dostrzegliśmy; sądzimy zaś, że jamb przy przykładach Psałterza właśnie szerokie znaleźć może zastosowanie. Zresztą znajdują się wszystkie inne stopy i miary w naszem rymotwórstwie prawo obywatelstwa mające. Wiersze są rozmaite,—mają od 5 do 13 zgłosek. W ogóle przeważają miary krótsze od 11-sto, a nawet od 10-cio zgłoskowych; wprost przeciwnie niż w Kochanowskim a podobnie jak u Rybińskiego, który jeszcze drobniejszy rytm u siebie wprowadził niż p. Bujnicki. Psalmy nie są nawskroś w jednej mierze trzymane i wiersze różnomiarowe mieniają się w toku zwrotek. Psalm XVII, u Koch. XVIII, przełożony jest wierszem 8-zgłoskowym składanym rozmaicie z amfibrachów i trochejów. Kochanowski do tego psalmu użył oryginalnej i, nie wiemy czy gdzie po nim powtórzonej, budowy wiersza z 8 i z 5 zgłosek, której nie umiał atoli dość artystycznie w całym ciągu utrzymać. Zresztą, uderzających oryginalnością kombinacyj, miar całowierszowych i stop nie natrafiliśmy w nowym przekładzie. Rymy również pomysłowością nie celują; musimy nawet powiedzieć, że widać w nich nieraz pospolitość, którą Kochanowskiemu, a bardziej jeszcze Rybińskiemu, piszącemu pod śpiew, wybaczyć można, ale która w dzisiejszych już pracach niczem usprawiedliwić się nie da. Tak zwana jedno-źródłowość, a raczej jedno-foremność rymów w Psałterzu p. Bujnickiego nie jest wcale rzadką i szkodzi całości.

Pod względem poetyczności przekład nowy niżej stoi od dzieła Kochanowskiego, a w części i od Rybińskiego. Potęga wyrazowa psalmów czeka jeszcze na rymotwórcę, któryby ją w mowie naszej oddał. Ścisłość wyrażeń nie jest jeszcze ich doskonałością: jak w prozie tak w poezyi pierwszą rzeczą jest ducha odtworzyć, a potem dopiero słowa wytłómaczyć. Wiemy o tem, że poezya silną jest tylko przez siłę myśli i idealnych obrazów swoich; wielkie wyrazy nieposługujące myślom i ideałom sztukmistrza jako proste narzędzia jedynie, lecz same stawiające się za coś istotnego—pustemi są tylko dźwiękami, przypominając wydęte a próżne balony: ale i o tem zapomnieć nam nie wolno, że wyraz jest wcieleniem myśli, która z niego tylko i poprzez niego poznaną być może. Z wyrażeniach słabych zatem i myśli, najsilniejsze nawet, słabo tylko wypromieniać się mogą. Każdy, poeta czy rymotwórca, prozaik czy wierszopis z języka powszechności, do której należy, z jej ducha językowego wiecznie żyjącego i tworzącego, i z własnej potęgi umysłowej wytwarza sobie osobny język, swój własny, i pod wpływem tej mocy anielskiej, która wydaje z siebie *styl*, języki ustawicznie się kształcą i wzbogacają. Każdy też pisarz wybitniejszy musi mieć swój własny język, wydzielony z całości mowy ogólnej, a co o pisarzu to samo rozumie się i o tłómaczu. Od Hugonowskiej górnolotności, od jego szczudeł wysokich, Boże uchowaj każdego; ale zbytnia znowu skromność i prostota, nie obliczające się z wagą myśli, łatwo w powszedniość, bezbarwność, w niemoc przechodzą. Zdaje nam się, że nowy tłómacz Psalmów nazbyt uległ tej drugiej dążności: przekład jego w wielu miejscach niczem się w umysł nie wraża; nie posiada tej siły, aby mógł wprowadzić doń wrażenia, uczucia, myśli i wyobrażenia Dawidowe. W ogóle jest on zimniejszym od poprzednich: nie ma tego ciepła, tej potoczystości, tego wypowiadania *jednym tchem* które mimo wielu niedostatków tak żywo zalecają Psałterz Rybińskiego. Psycholog ludów powiedziałby, że wiek XVI bliższym był niż dzisiejszy tego świata wyobrażeniowego—w którym przebywał umysł Dawida; że zatem łatwiej mu było poetycznego nastroju dochować.

Przytaczamy tu na poparcie powyższego twierdzenia o stopniu poetyczności nowego Psałterza, kilka wyjątków z Psałterza Rybińskiego; pilniejszy czytelnik sam porównać je zechce z odpowiedniemi ustępami psalmów, przekładu p. Bujnickiego, aby je ostatecznie z Kochanowskim zestawić.

Weźmy Psalm CIV, uważany przez estetyków za koronę całego zbioru Dawidowego: Rybiński tak go zaczyna:

Duszo, błogosław Pana swojego,—
—O wszechmogący—rzekni do niego,
Nieogarnionyś Ty w swojey wielkości,
Niedoścignionyś w swojey wielebności;
Wkół cię obeszła cześć, także chwała;
Jak płaszcz ozdobny jasność odziała;
Jak śliczny namiot, swoimi rękami,
Rozbiłeś niebo upstrzone gwiazdami.
....Tyś swe pałace w wodach postawił,
Tyś wozy sobie z obłoków sprawił,
Tobie i prętkość i skrzydła wiatrowe,
Jako nayrętsze konie są gotowe.
Ty sobie z wiatrów posły sprawujesz,
A oni bieżą gdzie rozkazujesz;
Sługami Twojey są sprawiedliwości
Gromy ogniste w swey *zapalitości*.

W strofie ósmej tegoż psalmu:

Królicy skały, góry wysokie
Za zamki mają—kozy *dziwokie*.
Tyś sprawił miesiąc, co czasom rey wodzi,
Ty słońce, które wie kędy zachodzi.
Twoja noc, w którą ciemności wstają;
W te się bestye leśne ruszają,
Lwięta pokarmu od ciebie żądają,
Rykiem go swoim u ciebie szukają.

W ostatniej strofie tak ślubuje król-poeta, w mowie Rybińskiego:

Wdzięczne mi będzie o nim myślenie,
W nim zawżdy moje rozweselenie,
Boday źli ludzie z ziemie wyginęli,
Y pomstę za złość sprawiedliwą wzięli,
A ty, duszo ma, chwal bez przestania
Pana, którego znasz zlitowania:
Wszytkie narody Panu chwałę dajcie,
Że nadeń niemasz więtszego wyznajcie.

W tymsamym psalmie wiersz 15 oryginału lepiej przetłómaczonym został przez p. Bujnickiego niż przez jego poprzedników.

Jakże serdeczne jest wołanie w psalmie CXLIII Rybińskiego:

Panie, od nieprzyjacioł srogich,
Wyrwi mię, boś twierdza ubogich;
Naucz mię żyć w słowie swoim,
Naucz mię swych wyroków drogich,
Boć ty sam jest Bogiem moim.
Duch twóy dobry niech mię sprawuje,
Niech drogi me wszytkie prostuje.
Panie, dla imienia twego
Day, że dusza moja uczuje
Zbawienie swe odezłego.

Albo weźmy psalm XCIII:

Pan nasz króluje w sławę odziany,
W męztwo i w dzielność zacnie ubrany,
Pan, przez którego ten świat stworzony
Stoi w swym gruncie nieporuszony.
Majestat jego bez odmienności,
Tak jak On bywa sam od wieczności,
Niech jak chcą rzeki się nadymają,
Niech huczą, z brzegów niech wylewają,
Niech się i morze jako chce burzy:
Groźniejszy morza i nawałności
Jest, y możniejszy, Bóg z wysokości.

W psalmie XLV, jedynym czysto-świeckim, nie do Boga, ale prawdopodobnie do Salomona i jego nowopoślubionej małżonki zwróconym, czytamy u Rybińskiego:

Przepasz-że miecz twóy, Zacny Bohatyrze,
Miecz chwały swojey, co cię zdobi szczyrze,
Z tymże jako król wsiądź na koń śmiele,
Tym grom niechętne nieprzyjaciele,
Ustrzegaj prawdy i sprawiedliwości,
Broń-że niewinnych w ich cnej niewinności,
Dokazuy męztwa prawicą swoją,
Niechaj się dziwów twych wszyscy boją,
....Majestat, Boże, twóy na wieki trwały,
Majestat, który *napełniony chwały*,
A sceptr twych rządów i panowania,—
Jest sceptr twych sądów i prostowania.

W psalmie znowu LV:

Obym miał skrzydła gołębice,
Prędkożbym ja zbył tej tęsknice,
Animbym tu ja więcej siedział,
Leciałbym na lepsze wczasy,
W puszczą, między głuche lasy,
Tam, gdzieby o mnie nikt nie wiedział.

W początku psalmu LXXIX wznosi się Rybiński nad Kochanowskiego:

W dziedzictwo Twoje poganin przeklęty,
O Boże, wtargnął i kościół Twóy święty,
Zesromocił: Jeruzalem zburzywszy,
W gromady gruzu wszytek obróciwszy.
Sługi twe wybili,
Trupy rozrzucili
Ptakowi do pożarcia—
Ciała twych kochanych,
Sług wiernych wybranych,
Bestyam do rozdarcia.
Krwie ich tak wiele wszędzie roztoczyli,
Że w niej jak w wodzie po mieście brodzili,
A nie był żaden coby był ratował
Y biedne kości do ziemi pochował.
....Y dokąd-że wżdy tego będzie, Panie?
Czyli na wieki gniew Twóy nie ustanie,
Y do końca-ż nas w takiey swey srogości,
Wytrawić ogniem chcesz w popędliwości?
Raczey na pogany,
Rzuć się rozgniewany,
Co Cię, Boga, nie znają;
Y na takie państwa,
Rzuć się do tyraństwa,
Które Cię nie wzywają.

Prowadzilibyśmy jeszcze dalej te wypisy; ale czas już je zakończyć przytoczeniem wyjątków z psalmu XLII, którego potęgę wyżej już uwydatniono:

Ciężko płacząc bez przestania,
Łzami karmię swą duszę,
Gdy brzydkiego urągania:
„Gdzie twóy Bóg?“ słuchać muszę.
Wzdalon od domu Twego,
Mnie przedtym codziennego,
Z wielką wiela radością,
Teraz schnąć muszę żałością.
Y czemuż tak wżdy bez miary,
Duszo moja, omdlewasz?
Bądź w Bogu tej całey wiary,
Że mu w rychle zaśpiewasz
Y oddasz dziękczynienie
Za jego wybawienie.
Tylko rychło ratuj, Boże,
Dusza dłużej trwać nie może.
....Rzekę Bogu, skale swojey:
Czemużeś mię *przebaczył?*
Czemuś mię z ciężkości mojey,
Złemu wyrwać nie raczył?

Prawieć mię zabijają,
Kiedy mi urągają,
Mówiąc niemal dnia każdego:
„Gdzież jest Bóg coś dufał w niego?“ (9).

Sądzimy, że porównanie wyżej zalecone doprowadzi czytelnika do wniosku, iż pod względem poetyczności t. j. potęgi wyrazowej, ciągłości toku poetycznego, gorącości uczucia,—w wielu miejscach nowy Psałterz dawnym nie dorównywa. Powiedzieć to trzeba zwłaszcza o psalmie VIII, XIX, XLII, LXXVIII, XCI (kto się w opiekę) CIV, co do którego przypominamy powyższe zastrzeżenie, CXXIII, dalej o psalmach pokutnych z wyjątkiem całego prawie Psalmu CXLIII, i wreszcie o psalmach CXXXVII, CXLIV i CXLVI, które do najpiękniejszych w Kochanowskim należą. W psalmie CXXXVI nie umiał czy nie chciał tłómacz uniknąć jednostajności w powtarzaniu ustawicznem: „Na wieki bowiem miłosierdzie jego“ i daleko poza Kochanowskim pozostał [10]).

Dobrze pod względem ducha i formy przedstawiły się nam w nowym przekładzie psalmy według liczbowania katolickiego, które przyjmuje p. Bujnicki: VI, XIV, XVII, LVII, LXII, LXIII, ustępy w LXXVIII i LXXIX, psalm XCII, CII, CIII, u Rybińskiego CIV, z którego wyżej podano wyjątki, ustępy w CXVIII, ps. CXX, CXXIV, CXXV, CXXVI, CXXXII, CXLII z wyjątkiem ostatniej strofy, wreszcie psalmy CXLVI i CXLVIII.

W niektórych psalmach nowy tłómacz nietylko współzawodniczy z Rybińskim i Kochanowskim, ale jest od nich, jeśli nie w całości, to w pojedynczych ustępach wyższym. Tak naprzykład w psalmie LXXIX czytamy:

Boże zastępów, wybaw nas, twe sługi;
Ukaż twarz twoją! a będziem zbawieni.
Mamyż więc, gniewem twoim porażeni,
Wołać próżno przez czas długi?
Dopókiż znosić mamy ciężką karę?
Gorzki chleb płaczu za pokarm nam dajesz;
Łzami nas nędznych poić nie przestajesz.

W Psalmie CII:

Wszyscy czerpiący prawdę w jego słowie,
Wszelkiego stopnia i wszelkiego stanu,
Potęgi święte, wojska, aniołowie
Wszyscy naszemu błogosławcie Panu!

Psalm CXXVI przytaczamy w całości:

Jeżeli domu Pan sam nie zbuduje,
Próżno człek nad tą budową pracuje;
Jeśli od miasta Pan oko usuwa,
Próżno strzedz będzie ten, co nad niem czuwa.
Próżno przededniem opuszczacie łoże:
Ranne wstawanie nic wam nie pomoże,
Kiedy pożywać przyszło chleb niedoli,—
Bo nic bez Pańskiej nie dzieje się woli.
Snem miłym darzy Pan swych ukochanych:
Oto dziedzictwo jest dóbr pożądanych,
Zapłata hojna, owoc dobrych czynów,
Kiedy rodzicom da posłusznych synów;
Gdyż jako strzały mężowi mocnemu
Tak są synowie ojcu strapionemu.
Szczęśliwy, kto w nich ziścił swe życzenia:
Nie dozna od swych wrogów zawstydzenia!

Język w przekładzie poprawny, z bardzo nielicznemi wyjątkami, w których pogwałcono prawidła składni.

Na tem przerywamy szereg myśli, jakie nam nasunęły się z powodu wydania Psałterza Dawidowego w nowym przekładzie polskim. Odrywając się od tak okwitego w naukę i prawdziwą rozkosz badawczą przedmiotu, nie możemy jeszcze powstrzymać jednej uwagi, ściśle z tym przedmiotem związanej. Zgłębianie literatury XVI i pierwszej połowy XVII w., w której poezya religijna tak niepowszednie zajmuje stanowisko, prowadzi do poznania całej prostoty i wszystkich piękności języka naszego w tym złotym wieku narodowego żywota. Dzięki Kochanowskiemu, Bazylikowi, Bielskiemu, Górnickiemu, dzieki kaznodziejom protestanckim i katolickim, dzięki znakomitym mówcom i statystom, język nasz — możemy to powiedzieć bez przechwałki — był podówczas stosunkowo wyżej wykształconym niż np. francuzki. Ale wkrótce wszystko: i majestatyczna, gorąca, z serca wyrzucana proza Skargi, i surowa a potężna wymowa Birkowskiego, i przezroczo-piękny, przeczysty język Gembickiego w jego hymnach protestanckich: wszystko to wraz z poprzedniemi wytworami ducha narodowego ginie dla życia, ginie w życiu, pod zalewem łaciny, która najścia dwukrotnie na nas dokonywała: w XVI w., gdy się kształciły na niej myśl i mowa nasza, w XVII, gdy obie od niej zamierać poczęły. Jakżeby się był język nasz wydoskonalił, gdyby nie ten drugi złowrogi, nieszczęsny najazd, gdyby nie te działacze duchowe, które pokalaczonej lichej łacinie prawo gospodarowania w przybytku mowy narodowej nadały! Do jakich-to piękności dojść-by był musiał język nasz, gdyby się był tak rozwijał od Skargi, jak się rozwijał do jego czasów od Reja? Im jaśniej poznajemy szkodliwe wpływy, jakie zaćmienie z umysłów ze sobą przyniosło, tem wyżej uczymy się cenić tę cudną mowę dobrych pisarzów XVI i XVII w. która pomimo względnej surowości swojej jest o wiele bliższą uczuwanego ideału polszczyzny niż najwykwintniejsza nawet mowa nasza dzisiejsza. Zaprawdę, jeżeli sprawiedliwemi są nawoływania do odświeżenia, oczyszczenia i wydoskonalenia mowy dzisiejszej, to nie znajdzie nikt ku temu czyściejszego źródła, doskonalszej szkoły, nad język piśmienny złotego wieku: ztamtąd-to przyjść może odrodzenie, spotężnienie —nowy z własnego łona rozwój. Cudzoziemczyznę z mowy swej wyplenić możemy dziś jedynie przez zwrócenie się ku mistrzom językowym XVI i XVII wieku. Na nich też poprawimy sobie styl: uczynimy go prostym, poważnym a żywym; przejmiemy go szczerością, której nam tak trudno wobec pewnej teatralności i jarmarczności dzisiejszego piśmiennictwa dochować. Uzacniwszy się w ten sposób, już nie na łacinie, ani na francuszczyźnie lub niemczyźnie, ale na własnej swej mowie, na samych sobie, wzbogacimy przez to więcej niżby sądzić zrazu można, skarbiec swego żywota. A tym co kiedyś Psałterz Dawidowy przekładać zechcą, zwrócenie się do języka dawnego przyniesie wielki pożytek. W wiotkiej, kusej, powiewnej szacie dzisiejszej, jakże niewygodnie i niepięknie tym poważnym posągowym postaciom myślowym króla Dawida i jego naśladowców! Może się mylimy, ale mamy to przekonanie, że bez oparcia się na prozaikach i poetach dawnych, nowy tłómacz, choćby najzdolniejszy, nie da utworu, któryby i jego samego i umysłową arystokracyę tej powszechności, do której należy, zadowolił (*).

S. K.

(9) Wyjątki z Rybińskiego przytoczono tu z wydania Psałterza jego przy *Biblii Gdańskiej* z r. 1632, której przekład bądź Paljurowi, bądź też księdzu Danielowi Mikołajewskiemu przypisywany bywa, a którą wydał nakładca wcześniejszych edycyj Psałterza Rybińskiego, Andrzyi Hünefeldt (nazwisko to na innych wydaniach pisane jest także i Hünefeld). Na tytule bardzo ozdobnym niéma wcale roku wydania; format in 8-o. str. 95, druk gocki wyraźny, nieco odmienny od druku samej Biblii. Melodye, o ile się nie powtarzają, podane są na czele każdego psalmu z podkładem słów. W exemplarzu Bibl. Ord. Krasińskich, którego nam użyczono, znajduje się to wydanie Psałterza Rybińskiego oprawne w jedną książkę wraz z Biblią samą, i innemi zbiorami pieśni odrębnie liczbowanemi. Po *Objawieniu św. Jana* w Biblii idzie *Passya* str. 10. Po Passyi—*Psałterz*, po Psałterzu na 29 kartach nieliczbowanych *Hymny;* na karcie 30-ej zaczyna się wreszcie *Summa nauki chrześciańskiej*, zajmująca tylko trzy karty. Bardzo być może, iż to wydanie *Psałterza Rybińskiego* uskuteczniono w jednym roku z *Biblią Gdańską*, i że jest ono temsamem, które Wiszniewski wymienia pod liczbą 12. w przypisku na str. 524, tom VI *H. L. P.*

W przytoczonych ustępach zachowano wiernie ówczesną pisownię i ówczesne upostaciowanie języka. Zmieniono tylko tam gdzie potrzeba *sz* na *ż*, opuszczono znaki miękczące nad *c*, *s* i *z*, tam gdzie *i* spełnia już zadanie znaku miękczącego, jako też wyrzucono akcent Seklucyanowy nad *a*, dano zaś kreskę nad *o*.

Mieliśmy z tej samej Biblioteki drugie jeszcze wydanie *Psałterza X. M. Rybińskiego*, wcześniejsze, z r. 1616, z przedmową wydawcy Hünefelda i określeniami psalmów przez X. Daniela Mikołajewskiego, w formacie bardzo małym, co najwyżej in 16-o; str. 392 samych psalmów, po których idą jeszcze pieśni. Wydanie to, ofiarowane protektorowi protestantyzmu, Krokowskiemu, dworzaninowi Króla Jegomości. Wiszniewski mieści je pod liczbą 7 (*l. c*). Różnice pomiędzy obu wydaniami dostrzegliśmy jedynie w pisowni.

[10]) Psalmy wymieniono tu według liczbowania protestancko-hebrajskiego, które przyjmuje zarówno Kochanowski jak Rybiński. Przypominamy to, co się powiedziało wyżéj o liczbowaniu psalmów.

(*) Po wydrukowaniu przypisków 3-go i 4-go do niniejszego opracowania (Nr 20 Bl.), otrzymała Redakcya Bluszczu odezwę p. Karola Estreichera, autora *Bibliografii XV i XVI stulecia*, w której sprostowane są mylne, a wskutek osobnego układu książki powstałe i w przypiskach owych wypowiedziane, mniemania, jakoby pan Estreicher wcale wydania Psałterza Kochanowskiego z r. 1578, oraz wydania Psałterza Mac. Rybińskiego z r. 1598 nie znał: przeciwnie, zna on jedno i drugie i mieści: pierwsze na str. 58 (nawet wszystkie trzy, o których Przyłęcki pisze), drugie na str. 88. Czytelnik raczy stosownie do tego oba powyższe przypiski sprostować.—Wymaga też poprawy liczba LVIII psalmu Rybińskiego (Nr 21 — w szpalcie drugiej rozbioru. wiersz 5 od dołu), na LXXVIII. — W tym samym numerze w szpalcie trzeciej, w wierszu 35-m opuszczono w wyrazie *ziemiey* końcowe *y*, wskutek tego powstała rzecz niezgodna z prawdą, forma bowiem drugiego przypadku żeńskiego na *e* jest w Rybińskim bardzo częstą, prawie wyłączną, a mało nadzwyczaj używana jedynie tylko (w wyd. przy Biblii Gdańskiej) forma *ziemiey*, *boginiey* (Koch.) nawet jako kształt przypadku VII.

Codo Psałterza Rysińskiego, Jocher opiera wiarę swą w jego istnienie na Bentkowskim, który znowu opierał się na Olofie *(Polnische Lieder-Geschichte)* i A. Węgierskim *(Systema hist.-chron. Ecclesiarum Slavonicarum)* Pewność istnieje tylko codo niektórych psalmów, że je bądź nanowo wytłómaczył, bądź też z Kancyonału krakowskiego poprawił Rysiński. Jocher i Wiszniewski przyjmują po owem wydaniu lubczowskim z r 1614 jeszcze wydanie gdańskie z r. 1619. Tytuł u Jochera: *Psalmy Dawida podług dawnych nut wierszem polskim*; tytuł u Wiszniewskiego: *Niektóre psalmy Dawidowe częścią poprawione, częścią znowu przełożone. Na stare nóty od S. R. w Lubczu nad Niemnem, w drukarniey Piotra Blasta* (1614, in 4-o). Zdaje się, że Wiszniewski miał oba wydania w ręku.

HISTORYA ZBRODNI

TOM II.

DZIEŃ CZWARTY.

Zwycięztwo.

(Dalszy ciąg).

Położenie to, które pojmowałem tak jak on, było następne:

Prawica Zgromadzenia składała się z 400 członków, a lewica ze 180. Czterystu z większości rozdziela się na 3 części, na stronnictwo legitymistyczne, orleanistowskie i bonapartystowskie, a w całości na stronnictwo klerykalne. Mniejszość 180 była za rzeczpospolitą.

Prawica nie ufała lewicy, więc wzięła się przeciw mniejszości na sposób. Był nim Komitet czuwający, złożony z 16 głównych członków prawicy, mający obowiązek nadać cechę jedności tej trójcy stronnictw, a zarazem pilnować lewicę. Lewica z początku odpłacała się odrobiną ironii i, pożyczając od W. Hugo wyrazu, do którego przywiązywano naówczas, — słusznie czy niesłusznie—pojęcie zgrzybiałości, nazwała owych 16 kommissarzy: *burgrafami*. Potem, z ironii przechodząc w podejrzliwość, skończyła na tem, że i ze swej strony ułożyła, celem kierowania lewicą a obserwowania prawicy, komitet ze 16-stu członków, który prawica pośpieszyła przezwać: *burgrafami czerwonymi*. Niewinny niby odwet. Rezultatem zaś tego było, że prawica pilnowała lewicy, lewica prawicy, a nikt nie pilnował Bonapartego, czyli dwie trzody, tak niespokojne wzajemnie o siebie, że zapomniały o wilku. Podczas tego, w jaskini Elizejskiej Bonaparte pracował. Czas, który traciło Zgromadzenie na podejrzewaniu się wzajemnem, on spożytkować umiał. Tak jak kiedy lawina stoczyć się ma z łoskotem i śmiercią, tak odczuwano zbliżającą się katastrofę. Szpiegowano nieprzyjaciela, ale nie zwracano się we właściwą stronę. Umieć zaś we właściwą stronę skierować nieufność: oto cała tajemnica wielkiej polityki. Zgromadzenie w r. 1851, nie miało tej przenikliwej pewności rzutu oka; fakta w złej były ustawione perspektywie; każdy widział przyszłość na swój sposób i pewnego rodzaju krótkowidztwo polityczne, zaślepiało tak samo lewicę jak i prawicę; — bano się, lecz nie tam, gdzie było trzeba;—znajdowano się wobec tajemni-

cy, miano przed sobą zasadzkę lecz nie szukano jej tam, gdzie była, i to tak dalece, że obie trzody, większość i mniejszość, patrzały na siebie wystraszone. I kiedy menerzy z jednej strony a kierownicy z drugiej, uważni i baczni, pytali się trwożnie coby miała znaczyć wrzawa lewicy,—a drudzy coby miało znaczyć beczenie lewicy?—jedni i drudzy, narażeni byli na nagłe zatopienie czterech szponów zamachu stanu w ich grzbietach.

Mój gość zapytał mnie:

— Pan jesteś jednym z szesnastu?

— Tak — odrzekłem z uśmiechem — jestem *burgrafem czerwonym.*

— Tak jak ja *księciem czerwonym.*

I uśmiech jego, podobny był mojemu.

Rzekł znowu: Masz pan zupełne pełnomocnictwo do działania?

— Tak jak i inni.

I dodałem:

— Niewięcej od innych. Lewica nie ma przewódców.

On mówił dalej:

— Czy Yon, kommissarz Zgromadzenia, jest republikaninem?

— Tak.

— Byłby posłusznym rozkazowi podpisanemu przez pana?

— Może.

— A ja mówię: bezwątpienia.

Spojrzał na mnie przeszywająco.

— A więc, każcie dzisiejszej nocy zaaresztować prezydenta.

Teraz przyszła na mnie kolej popatrzeć na niego.

— Co pan chcesz przezto powiedzieć?

— To, co powiedziałem.

Muszę oświadczyć, dodaje autor, że słowa jego były jasne, silne i nacechowane przekonaniem, i że robiły na mnie w czasie całej tej rozmowy, jakoteż i teraz i zawsze, wrażenie szczerości i prawdy.

— Zaaresztować prezydenta?—wykrzyknąłem.

Wtedy wyłożył mi, że rzecz ta wydająca się nadzwyczajną, była prostą, że armia była niezdecydowaną, że w armii generałowie z Afryki nie stali nieugięcie za prezydentem, że gwardya narodowa trzymała ze Zgromadzeniem, a w Zgromadzeniu za lewicą, że pułkownik Forestier ręczy za 8-my legion, pułkownik Gressier za 6-ty, a pułkownik Howyne za 50-ty, że na rozkaz szesnastu z lewicy, chwycą za broń natychmiast, że podpis mój wystarczy, że gdyby mi się jednak udało zgromadzić komitet w największym sekrecie, możnaby zaczekać do następnego dnia;—że na rozkaz tych szesnastu, jeden batalion pomaszerowałby na Elizeum, które niczego nie przypuszcza, przemyśliwając nad zaczepnością a nie odpornością, — i będzie schwytane w pułapkę, — że wojsko nie oprze się gwardyi narodowej, że rzecz się uda bez wystrzału, że Vincennes otworzy się i zamknie podczas gdy Paryż spać będzie, że prezydent mógłby tam dokończyć swej nocy, i że nareszcie Francya obudziwszy się, dowiedziałaby się podwójnej dobrej nowiny, to jest o rozbrojeniu Bonapartego i o wyswobodzeniu Rzeczypospolitej.

Dodał:

— Możesz pan liczyć na dwóch generałów: Neumajera w Lyonie i Lawoestyna w Paryżu.

Wstał i oparł się o komin. Widzę go jeszcze tak stojącym i zamyślonym—i mówił dalej:

— Nie czuję w sobie dosyć siły do rozpoczynania na nowo wygnania, lecz mam siłę, ażeby uratować swoją rodzinę i kraj swój.

Zapewne zdawało mu się żem zrobił ruch zadziwienia, bo z naciskiem wypowiedział następne słowa:

— Wytłómaczę się. Tak, chciałbym uratować swoją rodzinę i kraj swój.

— Noszę nazwisko Bonapartego, lecz—pan wiesz o tem, iż bez fanatyzmu.

— Jestem Bonapartym, ale nie bonapartystą. Nazwisko to szanuję, ale je i sądzę. Ma ono już plamę: 18 Brumaire'a. Maż mieć drogę? Plama tamta zniknęła pod sławą. Austerlitz pokrywa Brumaire'a. Napoleon otrzymał rozgrzeszenie przez geniusz. Naród tyle uwielbiał, że przebaczył. Napoleon stoi na kolumnie, rzecz to już skończona, ale niech go zostawią w spokoju. Niech go nie zaczynają na nowo ze złej strony — niech nie zmuszają Francyi, iżby sobie zanadto przypomniała. Ta sława Napoleona ma swą słabą stronę. Ona ma bliznę, zagojoną, prawda, lecz niechże jej nie otwierają na nowo. Cokolwiekby apologiści powiedzieć mogli, niemniej jest prawdą, że Napoleon sam sobie zadał z dniem 18 Brumaire'a pierwszy cios.

— Rzeczywiście—rzekłem—kto popełnia zbrodnię, popełnia ją przeciw sobie samemu.

— Otóż—mówił dalej—sława jego przeżyła ten pierwszy cios, drugi cios zabiłby ją. Ja tego nie chcę. Nienawidzę pierwszego, zwanego 18 Brumaire'm, lękam się drugiego. Chcę mu więc przeszkodzić.

Zatrzymał się, a potem ciągnął dalej:

— I dlatego-to przyszedłem tej nocy do pana, bo chcę nieść pomoc tej wielkiej sławie zranionej. Radząc panu to, co radzę, jeżeli to uczynisz, jeżeli tak uczyni lewica, ocalam pierwszego Napoleona, ponieważ, gdyby się na tej sławie druga układła zbrodnia, sława ta zniknęłaby. Tak—imię to zostałoby rozdarte, a historya-by się go zaparła. Idę dalej i uzupełniam myśl swoją. Ocalam także przez to Napoleona obecnego, ponieważ jego, który już nie ma sławy, obciążyłaby jeszcze zbrodnia. Ratuję pamięć jego od wieczystego pręgierza.

Zatem zaaresztujcie go.

Był istotnie i rzeczywiście wzruszonym. Rzekł dalej:

— Codo rzeczypospolitej — dla niej uwięzienie Bonapartego będzie oswobodzeniem. Mam więc słuszność powiedzieć, że przez to, co wam radzę, ocalam rodzinę swą i kraj swój.

— Lecz—odpowiedziałem — to, co pan radzisz, jest zamachem stanu.

— Czy tak?

— Bez wątpienia. My jesteśmy mniejszością, a zrobilibyśmy w takim razie akt większości. My jesteśmy częścią Zgromadzenia, a działalibyśmy tak jak gdybyśmy byli pełnem i całem zgromadzeniem — my, którzy potępiamy wszelką uzurpacyę, bylibyśmy uzurpatorami. Podnieślibyśmy rękę na urzędnika, którego tylko Zgromadzenie ma prawo kazać uwięzić. My, obrońcy Konstytucyi, pogwałcilibyśmy Konstytucyą. My—ludzie prawa, zgwałcilibyśmy prawo. To zamach stanu!

— Tak, lecz zamach stanu w celu dobrym.

— Ale złe zrobione dla dobrego, pozostanie złem.

— Nawet kiedy się powiedzie?

— Przedewszystkiem, jeżeli się powiedzie.

— Dlaczego?

— Bo wtedy staje się przykładem.

— Więc pan nie pochwalasz 18 Fructidora?

— Nie.

— Lecz 18-te Fructidory przeszkadzają 18-tym Brumaire'om.

— Nie, tylko je przygotowują.

— Lecz przecież racya stanu istnieje?

— Nie—istnieje tylko prawo.

— Na 18-ty Fructidora zgodziły się bardzo nieposzlakowane umysły.

— Wiem.

— Blanqui jest za tem wraz z Micheletem.

— A ja jestem przeciwko—razem z Barbèsem.

Ze strony moralnej przeszedłem do praktycznej.

To powiedziawszy—rzekłem — badajmy pański plan.

Plan ten najeżony był trudnościami. Ukazałem mu je w całej ich nagości.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 21-szy powieści pod tytułem: **Zamek Daly.**

PO CENIE ZNIŻONEJ.

W księgarni nakładowej Michała Glücksberga przy ulicy Nowy-Świat Nr 55, oraz we wszystkich Księgarniach tak w Warszawie jak i na prowincyi do nabycia:

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ

przez

Leona Rogalskiego

w dwóch dużych tomach w 8-ce

(Tom pierwszy zawiera stronnic 596; — tom drugi zawiera stronnic 814)

cena pierwotna zniżona

z rub. sr. 6 na rub. sr. 2 kop. 50

Dzieło to obejmuje: **Dzieje literatury polskiej od jej zawiązku po koniec 1870 roku. Wiadomości bibliograficzne** o wyszłych dziełach są bardzo skrzętnie zebrane i podają wiele szczegółów w innych dziełach tego rodzaju pominiętych.

CZŁOWIEK ŚMIECHU

Powieść

WIKTORA HUGO

przełożona z francuzkiego przez

Felicyana Faleńskiego

w 4-ch tomach

zniżona w cenie z rs. 3 na rs. 1 k. 50.

We Lwowie u *Gubrynowicza* i *Schmidta.*—W Krakowie u *D. E. Friedleina.*—W Poznaniu u *Leitgebera*, oraz w innych znaczniejszych księgarniach.

Listy z prowincyi uprasza się adresować do Wydawcy „Bluszczu“.

TREŚĆ. Pogawędka. — Wiosenna piosenka, poezya, (z Heine'go). — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Kłopot dziadunia, obrazek w jednej odsłonie, przez Ludwikę S.— Przegląd piśmienniczy, (dokończenie), przez Stanisława Krzemińskiego.— Historya zbrodni, W. Hugo, przełożył Edward Lubowski.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Мая 1878 года